

Jak wojnowskie topole...

Tadeusz Pasikowski

W starym parku wśród drzewnej gestwiny rośnie kilka potężnych topoli. Pnąc się ku niebu wznosi się nad czuby otaczających je brzozy i jodeł, smukłych sosn i rozłożystych kasztanów. Do tych topoli przemijają się młodzi chłopcy i z kocią zręcznością wdrapują się po konarach na sam prawie szczyt. Uczępieni chyboliwych gałęzi syca oczy rozległymi widokami.

Bo i jest się czym zachwycić. Z wyniosłych topoli obijać można wzrokiem nie tylko cały park z kryjącym się wśród drzew dawnym pałacem magnackim, na którym czerwony sztyl głośi, że tu właśnie mieści się biuro Rolniczej Spółdzielni Wytwórczej im. Karola Świerczewskiego, nie tylko — rozległe podwórze spółdzielcze i nisko przycupnięte chałupy Wojnowa, lecz dalej widać rozmiętą taflę jeziora i bór, długie splachcie oziminy i świeżo zasoranych ról, a na widnokręgu — sąsiednie gromady — Łopuchowo i Trojanowo, Białoszyń i Stary Łaskoń — ot, spory szmat obornickiego powiatu. A nad głowami, w błękitnym kłosu nieba, lśni jak wielki brylant tarcza wiosennego słońca i ciepłymi promieniami budzi przyrodę do życia, a ludzi zachęca do roboty.

Zewsząd dochodzą już odgłosy tej pracy.

Pod lasem pyka traktor z goślińskiego POM-u i wlecze za sobą wieloskokowy pług o wysrebrzonych lemieszach. Za rzedem nowych domków spółdzielczych trójka koni ciągnie siewnik ronący złote ziarna. Wśród grupki otaczających go ludzi nie trudno odróżnić Władka Zaworskiego. Uwija się i spieszy jakby za chwilę lunąć rżęsiły deszcz. Obok niego Franek Baszczyński — ten, który dziennie obsiewa aż 7 hektarów zespołowej roli. Nie brak i Władka Kaspzaka, który zawzają się, by być najlepszym w wysiewie nawozów.

Nieco bliżej warcy motocykl. Jakby motocykl pędził

drogą. To zmechanizowany sortownik do ziemniaków. Znad kopców wystaje jego druczany bęben, a z boku grupka kobiet odrzuca przebrane ziemniaki na zypyska. Jest między nimi Maria Paul w okularach o grubych szklach i Rozalia Konieczna w kraciastej chustce na głowie. Miło patrzeć jak roboty pali się w ich zwinnych, mocnych dłoniach. Gromadce przewodzi brygadzieta Roman Janiszewski — chłop na schwał i dzielny spółdzielca. Razem ze Stachem Bartkowskim rzuca na transporter ziemniaki z odkrytego kopca. Za szeregiem długich zabudowań gospodarczych ciągnie

rozrośnięty. Ich serdecznej przyjaźni nie zmaca podstępny wywala, bez zły myśli, piosenka o dwóch Michałach.

W kocu maku się szukali — mówią o nich we wsi.

Ale zbliżyli się do siebie dopiero na wspólnym. Przyjaźnia więc złączyła zresztą nie tylko ich dwu, lecz wszystkich 48 członków wojnowskiej spółdzielni. Dawniej każdy szedł swą własną drogą, łatał biedę w pojedynkę i nie oglądał się na innych. Harowało się od świtu do nocy, a nadzieja na życie bez większych trosk i z odrobiną radości jakoś wymykała się z chałup i czworaków. Życie i praca w pojedynkę dzieliły

stanęli przed pałacem, w którym mieszczą się dziś bogato wyposażone przedszkole, ładnie umeblowana świetlica, sklep Gminnej Spółdzielni, biuro zespołu i kilka mieszkań.

Wspominając dawne czasy w zamroczonym czołe Miski pogłębia się pionowa bruzda. Bez żalu w głosie mówi o małej wiosce w krakowskim podmiechowie, gdzie na niecałym morgu lichej ziemi, w rozwalającej się chałupinie, upływały mu długie lata w wiecznym niedosyć. Poniżany i krzywdzony przez ludzi mogących decydować o losie takich jak on biedaków, odcierany od spraw kraju i świata, od źródeł nauki i wiedzy — mógł tylko marzyć o innym i lepszym życiu. Czasem w jego sercu wzbierał bunt, lecz przymuszany od młodości do pokory i cierpliwego znoszenia swego losu — Miska, jak spętany i bezbranny więzień, musiał ulegać wyrokowi życia.

Gdy nadeszło wyzwolenie — pod Miechowem nie było ziemi do podziału. A Miska zawsze marzył o szerokiej zagonach, zawsze pragnął wiodarzyć z rozmachem i na wielkim. W 1948 roku ruszył z rodziną i lichym dobytkiem w poznańskie i w Wojnowie dostał wymarzone 7 ha. Przyjęło go z początku nieufnie, jak każdego obcego, ale trzeba było paru tylko miesięcy, by ofiarną pracą, wykazaniem patriotyzmem, serdecznym stosunkiem do ludzi i ujawniającą się coraz bardziej mądrością życiową pozyskał sobie ogólny szacunek i zaufanie. One z kolei uitorowały mu drogę do Partii. W niej Miska pogłębił swą świadomość ideologiczną i poprzez wyłożoną pracę polityczną dojrzał wielkie cele ludu. To Partia wprowadziła go na szeroki gościniec, u końca którego ujrzał wieś nową i szczęśliwszą, wieś piękną i bogatą, o której zawsze marzył, lecz której długo nie widział.

Biedny i zahukany dawniej chłop krakowski jest dzisiaj przewodniczącym wojnowskiej spółdzielni produkcyjnej. Jakże śmieszny wydaje się jego morgowy zagonik wobec 520 hektarów spółdzielczej ziemi, na której obecnie wiodarży niegorzej od uczono-ego agronoma, a na pewno lepiej od przedwojennego rządcy. Miska jest dzisiaj ławnikiem w Sądzie Wojewódzkim; aktywnym społecznikiem, wygłaszającym śmiało i pewnie swe opinie i uwagi na różnych zebraniach; przez rok był I sekretarzem organizacji partyjnej w Wojnowie i pracą swą przyczynił się do zwerbowania wielu chłopów w spółdzielcze szeregi. Jego dzieci kształcą się: 19-letni Edmund pracuje jako agronom w goślińskim POM-ie i kończy kurs księgowości; 17-letnia Miecia kieruje się na pracowniczkę biurową w spółdzielni.

Tak oto urósł Miska, a inni?

Życie reszty niewiele różniło się od doli przewodniczącego. Władysław Zaworski wzrastał w nędzy i zaco-faniu, w pracy nad siły i bezustannych kłopotach. Dzisiaj jest II członkiem zarządu, kierownikiem hodowli roślin, grupowym w brygadzie konnej i jednym z najdzielniejszych ludzi w zespole. Od wczesnego rana słychać jego donośny głos na spółdziel-

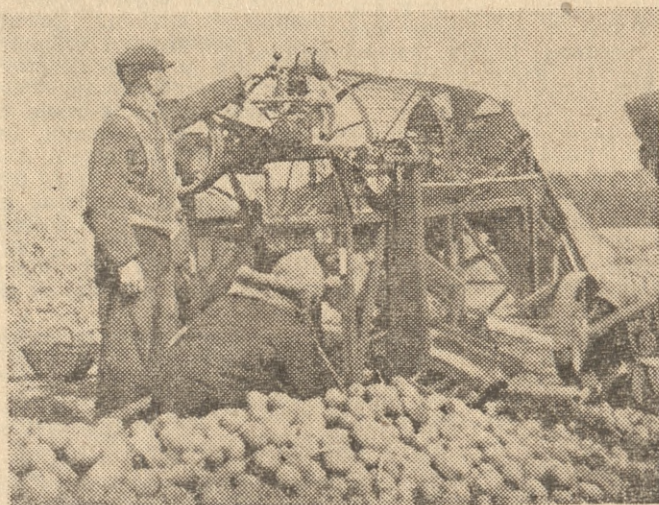
(Ciąg dalszy na str. 3)



Przewodniczący Michał Miska i trzeci członek zarządu Michał Burzyński to nierozłączni przyjaciele.



Drugi członek zarządu — Władysław Zaworski — dba o najdrobniejsze dobro spółdzielni, lecz najbardziej troszczy się o powierzzone jego pieczy konie.



Przy zmechanizowanym sortowniku — mówi brygadier Roman Janiszewski — praca jest nie tylko lekka, lecz również przyjemna.

się wzdłuż drogi wybieg dla trzody. W zagrzany piasku wylegają się tłuste maciory, a w pół wyschniętym bajorku brodzą w błocie ucieszne warchlaki i prosieta. Oparci o niskie ogrodzenie Miska i Burzyński wybierają dopasione sztuki do odstawy. Obaj noszą to samo imię — Michał i obaj ciągle trzymają się razem. Miska jest szczupły i niski — Burzyński wysoki i

ludzi tak, jak miedze rozgraniczały od siebie poszczególne pola. Osamotnienie w nieszczęściu, lęk przed nieurodzajem czy pomorem bydła lub trzody zasnuwał myśli chłopów chmurami ciągłej niepewności.

Wszystko to uległo radykalnej zmianie przed czterema laty, gdy wojnowscy mało- i średniorolni postanowili połączyć swe działki i pracować razem. Powstawały wówczas pierwsze dopiero spółdzielnie produkcyjne i przez kraj przelewały się fale zastraszających plotek kułackich. Niejednemu więc drżały ręce, gdy składał swój podpis pod statutem, ale gromada ufała zapewnieniom ludowego rządu i Partii, wierzyła gazetom i aktywistom politycznym, którzy wskazując na wielkie osiągnięcia kołchozów radzieckich, wiele mówili o pomocy państwa, o traktorach i nowoczesnych maszynach, o sztucznych nawozach i nowych metodach gospodarowania, o pracy łatwiejszej i wydajniejszej, o elektryfikacji i radiofonizacji, o świetlicach i przedszkolach. Wojnowscy chłopci wierzyli w to, że tylko poprzez spółdzielczość mogą zdobywać coraz lepsze plony i że w miarę jak krzepnąć będzie ich zespół, narastać musi zamożność i znaczenie poszczególnych członków.

W ciągu czterech bez mała lat wiele zmieniło się w Wojnowie. Trafiły do wsi traktory i nowe maszyny, elektryczność i radio, książki i gazety. Zmienili się również sami ludzie.

Oto Michał Miska z nieodłącznym Burzyńskim przy-

się ku twórczości ludowej. Rzeźba „Kobiety wsi wielkopolskiej” stała się zapowiedzią nowego kierunku.

Narada twórców ludowych dała dużo J. Berdyszakowi. Przekonał się — opowiadał — że istnieje dla mnie olbrzymie bogactwo tematu, a przy tym zawarłem wiele znajomości z artystami ludowymi innych okręgów, z Kąsąb, Zakopanego, Lubelskiego i Rzeszowskiego, z profesorami wyższych uczelni, którzy razem z nami zasiedli do obrad.

Wielu z zebranych w dyskusji — ciągnął dalej J. Berdyszak — utyskiwało i narzekało na CPLiA, na brak to węgla, to drzewa, to czegoś innego. Moim zdaniem ubolewania nie dadzą. Nic też nie da praca samopas, niezorganizowana. Inne okręgi, gdzie więcej jest twórców ludowych, mogą się łączyć w spółdzielnie jak na Kaszubach we Wdzydzech, jak w Zaliptu, jak w Olsztynie. Nas niestety w Wielkopolsce jest za mało, ale z czasem — liczę — nasza gromada się powiększy i wspólnym wysiłkiem więcej będziemy mogli zdziałać.

Małe oczy mistrza rzeźbiarskiego zapatrzyły się gdzieś w przestrzeń, daleko za oknem, jakby w przyszłość.

Po chwili usłyszeł: — Za dużo mam do powiedzenia o rzeźbie. Od projektów roi mi się w głowie. Człowiek powinien żyć pięćset lat! — dodał z uśmiechem.

I J. Berdyszak bierze także udział w ogólnopolskim konkursie na najlepsze dzieło sztuki ludowej. Temat? Niech pozostanie na razie tajemnicą.

Opuszczamy zagrodę mistrza zaworskiego z przeświadczeniem, że w tym konkursie i w ogóle w sztuce ludowej będzie wraz z Leonem Dudkiem godnie reprezentować nasz tak mało znany region Wielkopolski.

W pracowniach wielkopolskich twórców ludowych

Paweł Rzempek

Coraz chętniej spośród dziesiątek pocztówek świątecznych wybieramy te z wycinkami kurpiowskimi lub łowickimi. Na stole i kredensie zdobywa sobie miejsce wazon czy to z pracowni kaszubskiej, czy sieradzkiej. Podziwiamy rzeźby Prillowej z Keyni i Kotowskiego z Iłży. Na polskim statku „Batory” urządzona wystawa ludowa i malowidła ściennie w wykonaniu prostych wiejskich ko-biet z Zaliptu zachwycają pa-sażerów. Piękna jest polska sztuka ludowa.

Twórczość ludowa musi mieć zapewnioną opiekę fachową, materialną i prawną. Aby nie zeszła ze swej właściwej drogi, aby coraz pełniej-szy był jej udział w nowo-tworzącej się kulturze socja-listycznej. Tę opiekę zapew-nia jej Ministerstwo Kultury i Sztuki, które nie tylko udziela stypendium artystom i zakupuje ich wyroby, ale tak-że służy ich wypowiedzi, rad, wskazówek, żalów, a szu-szne ich dezyderaty wprowa-dza w życie. Twórcy ludowi mają głos w kształtowaniu się nowej kultury, nowej sztuki.

Tej sprawie była poświęco-na ogólnopolska narada twórców ludowych zorganizowana w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Uczestniczyli w niej także nasi wielkopolscy rzeź-biarze: L. Dudek z Włoszakowic i J. Berdyszak z Zawor pod Śremem. Wrócili z niej zachęcani do dalszej pracy, z wielkim zasobem entuzjazmu i z szerokim wachlarzem tematów.

Na naradzie poznałem wielu twórców ludowych — powiedział nam w rozmowie Leon Dudek. — Dowiedziałem się, co kto robi, jak roz-wija swój talent. Mogłem po-równać swoje dzieła z innymi rzeźbami, wystawionymi na zorganizowanym przy tej okazji pokazie.

Rzeźbiarz włoszakowicki jest bardzo krytyczny. Wyma-

ga od siebie wiele, dostrzega błędy i stara się unikać ich w następnej rzeźbie. Zachęcony na naradzie warszawskiej, ma dużo nowych świe-żych pomysłów. Weźmie udział w ogólnopolskim kon-



„Kobieta wsi wielkopolskiej” rzeźba artysty ludowego J. Berdyszaka

kursie na najlepsze dzieło sztuki ludowej. Równocześnie poszukuje piaskowca, by wykonać popiersie K. Kurpińskiego, który urodził się i pierwsze kroki muzyczne stawiał tu we Włoszakowicach. Na warsztacie — piękna rzeźba „dojarka”.

O swoich planach L. Dudek mówi z radością, z zapa-łem, jakiego u niego nigdy dotąd nie widzieliśmy. Namawiamy go jeszcze, żeby przygotował więcej rzeźb. Przecież kiedyś wreszcie (wie rzymy!) CBWA urządzi w Poznaniu wystawę sztuki ludowej i pokaże na niej dorobek, więcej znany Minister-stwu i Wydziałowi Kultury przy Prezydium WRN, niż o-gołowi społeczeństwu naszego województwa.

Inny rzeźbiarz wielkopolski — J. Berdyszak jest samoukiem, który próbował swych sił w wielu dziedzi-nach sztuki plastycznej i w dalszym ciągu uzupełnia swo-ją wiedzę.

Zawory, gdzie mieszka J. Berdyszak, są trudne do odnalezienia. Wieś leży na ubo-czu zdala od szos powiatu śremskiego. W zagrodzie średniorolnego chłopca — rzeźbiarza przedsięwzięte porządki.

W tej chwili czyni przygo-towania do szeregu rzeźb. Będą to popiersia wielkopolskich typów wiejskich w stro-jach regionalnych. W rzeźbie chce uwiecznić folklor wielkopolski!

O swych najbliższych pla-nach mówi też na naradzie twórców ludowych w Mini-sterstwie Kultury i Sztuki. Ale nie tylko o tym. O po-trzebie założenia Związku Twórców Ludowych celem dzielenia się osiągnięciami i uwagami i celem ratowania wielu resztek sztuki ludowej z czasów, kiedy była jeszcze „Kopciuchem”, aby te pamiętki mówiły pokoleniom o kul-turze materialnej ludu nie tak dawno wyzyskiwanego przez klasę posiadaczy.

J. Berdyszak otarł się już o sztukę, pisaną wówczas przez wielkie S w czasach kapitalistycznych. Zaczął wia-ściwie swoją twórczość od ko-zika i marchwi. Pół roku głodo-wał w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Rok walczył z głodem i chłodem w poznańskiej szkole. Złe wa-runki materialne zmusiły go do powrotu do ojcowskiego gospodarstwa na piaskach (w zgoła innych warunkach kształcił się dziś jego syn Jan w Państ. Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Poznańsku!). Odetł rzeźbił na zamówienia, według cudzych wymagań. Po wojnie zwrócił



Maria Paul i Rozalia Konieczna — to chyba najpracowitsze kobiety ze spółdzielni wojnowskiej.

Niezwyczajne dzieło „przedziwnego mnicha”

„OTELLO” tragedia zawiedzionej ufności Kazimierz Nowowiejski

Franciszek Rabelais
według sztuchu z r. 1610

Młodość Rabelais'ego przy padła na dobę, w której humanizm nie prze niknął jeszcze do szerszych warstw społeczeństwa francuskiego. W szkołach panowała średniowieczna, ciasna scholastyka, dla której Rabelais miał szczerą pogardę. W klasztorze Franciszkanów, dokąd go oddano, potajemnie uczył się astronomii, łaciny, hebrajskiego, arabskiego, prawa rzymskiego, a przede wszystkim greki. Gdy w celu jego zrobiono rewizję, znajdując dzieła Homera, Cicero na i Erazma, uciekł z klasztoru i z trudem, dzięki poparciu możnego biskupa, przyjęty został do zakonu Benedyktynów.

Tak jak wszyscy wybitni ludzie Odrodzenia był wszędzie sirońnie wykształcony. Zgłębił wiedzę humanistyczną i przyrodniczą, a szczególnie medycynę. Obracał się wśród najwykwnięjszych umysłów, będąc ulubieńcem mądrego biskupa Geoffroy de Estissaca, który często jeździł do Rzymu, zabierając z sobą Rabelais'ego. Nie oznacza to wcale, że nasz humanista trzymał się kłamki biskupiej, czy też później kardynalskiej du Vellay. Zbyt silnie dworował sobie z duchownych, aby chętnie w ich towarzystwie przebywać. Był czas w jego życiu, że zrzucił habit zakonny i stał się lekarzem normalnie ordynującym w Lyonie, który skupiał wówczas świat uczonych Francji, aby wreszcie zostać świeckim duchownym.

Ta żywa, pełna temperamentu natura nie mogła się zmieścić w żadnym wymiarze, rozsadała każdą regułę i przelewała się bujnie, zwłaszcza poza reguły klasztorne. Przebaczano mu wiele dzięki osobistemu zaletom, bo Rabelais posiadał niezrównany humor, dowcip i ciętość ostrza satyry.

Rozpoczął pisać późno, mając lat blisko czterdzieści. Ślad znanym rysm jego twórczości jest wielkie doświadczenie, zdobyte w ciągu czynnego i ogromnie ruchliwego życia. Rozpoczął pracę p'sarską od kalendarzy, tej ulubionej popularnej ówczesnej lektury. Już w nich ujawnił się jego humor i zjadliwa satyra. Praca nad tymi kalendarzami nasunęła mu myśl do napisania ludowej opowieści o Gargantui, a następnie jego synie Pantagruelu. Któż jak nie on, syn ludu mógł znać lepiej opowieści ludowe. Posłużył mu za kanwę, na której w sposób genialny haftował swoje złote mądre myśli. Rabelais jest dzieckiem okresu przejściowego we Francji od Średniowiecza do Odrodzenia.

W czym imieniu przemawiał? Czyje ideały reprezentował ten niezrównany satyryk?

Żył w okresie, gdy na widok dziejowej pojawiło się oświecone mieszczaństwo jako nowa siła społeczna, wówczas postępową, która poczuła swą moc — dążąc do obalenia władzy i autorytetu średniowiecznego feudalizmu. Oczywiście zainteresowania naukowe, humanistyczne mieszczaństwa wyrosły z przesłank ekonomicznych. Wiek XVI — to okres zdobywania „nowego świata”, fantastyczny przypływ złota i srebra z obu Ameryk, ogromny rozwój handlu, który wzmocnił ekonomicznie mieszczaństwo, uniezależnił je od władzy scholastycznej, cudownych autorytetów władzy „deo gratias”, iela wymyślać nie tylko kler, zakony, obudę, ale i podórę średniowiecza — rycerstwo. W tej przecięt epoce pojawił się „Don Kichot” Cervantesa.

I oto w dowcipnym mniuchu znalazło mieszczaństwo swego najsławniejszego (ze wszystkich chyba wie-

Wśród wielkich rocznic, jakie cała postępową ludzkość obchodzić będzie w roku bieżącym, poczesne miejsce zajmuje wielki humanista XVI wieku, Franciszek Rabelais (1490—1553). 400-lecie jego śmierci obchodzi szczególnie Francja, gdzie żył i tworzył swe dzieło „Gargantua i Pantagruel”.

„Rabelais — to głęboki myśliciel, Rabelais to cudowny, nadzwyczajny pisarz, Rabelais — to zagadka dla potomnych” — takim mianem określają krytycy francuscy autora satyrycznych opowieści o Gargantui i Pantagruelu*).

ków) satyryka, który wyszydził i odkrywał słabości przeciwników mieszczaństwa, w którego obronie występował także bezpośrednio. On, który obracał się wśród możnych ówczesnego świata, lekceważył pochodzenie. Na wstępie swego Gargantui powiada: „Na świecie znajdziemy wielu cesarzów, królów, książąt i papieży, których przodkowie roznosili ochłapy...”

Żyjąc w czasach rozdwojenia religijnego, gdy we Francji szerzył się kalwinizm, Rabelais znajdował się jednak poza walkami religijnymi. Ten osobliwy mnich uważał, że religia została sfałszowana przez ludzkie wymysły. Razia go nadmierna wada pałę, więc niechętnie się do niej przystosowywał, odwołując się do części bałwochwalczą. Sztydził z zakonów, postów i cudów. Instytucje zakonów uważał za całkiem bezcelową i bezużyteczną, a mniichów za pijawki ludzkie. Klasztor był dla niego typową szkołą obłudy.

W swym pogodnym sceptycyzmie widział jałowość dysput dogmatycznych, a cenil jedynie zasady moralne i o nie walczył. Dawał im wyraz m. in. w swych uwagach o małżeństwie i kobiecie. Atakował nie mniej odważnie sądy za ich niesprawiedliwość i przekupstwo, pro-

wadząc z nimi zaciekle, choć niebezpieczną dla siebie walkę.

Siła talentu Rabelais'ego ujawniła się w jego niezrównanej groteskowej satyrze. Słownik autora Gargantui i Pantagruela jest wprost niewyczerpany. Używa wyrazów wszystkich odcieni: poważnych, rubasznych i ordynarnych. Ale te wszystkie środki mu nie wystarczają. Tworzy nowe wyrazy, którymi uderza jak kastanietami, lubując się ich dźwiękiem. Jest mistrzem fonetyki słów i pod tym względem porównać go można jedynie z Wiktorem Hugo. Maluje życie najwerniej. Kieruje się tylko jedną zasadą: Pisać prawdę, co się



Strona tytułowa pierwszego wydania „Pantagruela” (1535)

Bajka karelska

W naszej Karelii nad samym Jeziorem Oniejskim był kołchoz. Najlepszymi kołchoźnikami w naszym kołchozie byli stary Fiodor, Maria i Aleksy. Fiodor rybami się zajmował; Maria wszystko kontrolowała, Aleksy był koniuszym.

Zebrał się pewnego razu wszystkich kołchoźników i zaczęli się zastanawiać, co na świecie jest najlepsze i najdroższe. Jako ludzie próci rozumowali w swój, wiejski sposób.

Baby powiadały: — Najlepsze są nasze krówki; dają nam mleko, to karmicielki nasze. My mleczko doimy, śmietankę zbieramy, maselko ubijamy, do pieca mleczko wstawiamy, kwasimy, placki pieczemy, ze śmietanką placki na stół podajemy.

Rybaczy powiadały: — Niedobrze mówicie. Ryba jest najdroższa. Ryba karmi nas i po. My sieci zarzucamy, ryby łowimy, czy to lososie, czy sieje, czy inne jakie, zupe rybna gotujemy, pierogi z rybą pieczemy, wódeczką popijamy.

A rolnicy powiadały: — Niedobrze mówicie. My żyto i jęczmień siejemy, jak dojrzeje — żniwa robimy, zboże w snopki wiążemy, snopki zwozimy, młócimy, siód zyskujemy, piwo warzymy. Nikt bez chleba żyć nie może. Ani pierogów bez maki upiec nie można, ani piwa nawarzyć.

Postanowili kołchoźnicy tak spór rozstrzygnąć: wysłać Fiodora, Marię i Aleksę na zwłady. Niech cała ziemia rosyjska przejdzie i dowieździe się, co na świecie jest najlepsze i najdroższe.

Spotkali się Fiodor, Maria i Aleksy i nie wiedzą, dokąd iść. Powiada wtedy Maria, że jej sta ra babcia przed śmiercią przykazywała: „Jak nie bedziesz czego wiedziała, albo drogi nie bedziesz znała, weź mój klebuszek, koniec nitki trzymaj, a klebuszek przed siebie na drogę rzuć. Dokąd się klebuszek potoczy — tam twoja droga prowadzi”.

Powtórzyła to Maria Fiodorowi i Aleksemu klebuszek zza

pieca wzięli, zrobili tak, jak babcia przykazała i idą za klebuskiem.

Idą i nadziwić się nie mogą. Tam, gdzie dawniej rzeki rozlewały się po polach, gdzie ani przejęcia, ani przejazdu nie było, wybudowano dziś mosty poprzez rzeczki — mosty na pół wiorsty, na palach, z balustradą. Tam, gdzie dawniej bagna były nieprzebyte, ani przejęcia, ani przejazdu — dziś drogi pięknie biegą, asfalem pokryte. Po tych drogach różne samochody jeżdżą, a nad samym Jeziorem Oniejskim samoloty sto. Chce człowiek — może pieszo iść, nie chce — samochodem jedzie, albo do samolotu wsiada i leci. Tam, gdzie dawniej były lasy gęste, nieprzebyte — dziś biega droga szeroka, ziemia ubita, latarnie stoja. We dnie — jasno, w nocy — jasno.

Idą sobie bez żadnych trudności Fiodor, Maria i Aleksy za klebuskiem, do samej Moskwy klebuszek się potoczył. Dużo po Moskwie samochodów pedzi, światła w Moskwie dużo. Jak gdyby w ogóle nocy nie było. Wice Fiodor powiada: — Bardzo mi się samochody podobają. Stare nogi do chodzenia już niespore, niech choć na starość samochodem pojeżdżę.

A Maria powiada: — Nie bez powodu tutaj klebuszek się potoczył. Moskwa to miasto nie byle jakie. W Moskwie się pewno dowlemy, co na świecie jest najlepsze i najdroższe.

I Aleksy powiada: — Pochodźmy trochę po tej Moskwie i popatrzymy: może to najdroższe jest nie u nas w kołchozie, ale właśnie w Moskwie.

Tak też postanowili. Chodzą po ulicach, nadziwić się nie mo-

widzi i słyszy, niczego nie przemilczać, nie nie upiększać i nie nie zmieniać. I ten rys jego twórczości zbliża go do naszych czasów poprzez cztery wieki.

Autor Pantagruela jest wielbicielem języka ojczystego, tłumionego przez łacinę. Pisze o nim, że „nie jest wcale tak nikczemny, ubogi i godny pogardy, jak to niektórzy myślą”. Czy nie przypomina nam to Reja w jego „Figliach słowami”: „A niechaj narodowie wdy postronni znają, że Polacy nie gęsi ze swój język mają”. Nasz Rey był zaledwie o 10 lat młodszy od Rabelais'ego i mowy tu być nie może o wpływie francuskiego humanisty, którego dzieł zapewne nie znał.

Rabelais wywarł jednak wielki wpływ na literaturę zachodnią. Z jego wzorów czerpał Moller, Szekspir („Stracone zachody miłosne”), Lafontaine, a w Niemczech Fischart. Jeszcze w XIX wieku — jednym z sięgających do wzorów satyry — w habcie — będzie wielki geniusz realizmu Honoriusz Balzac. Jego „powiastki ucieszne” tchną tym rabelaisowskim humorem, typowym dla francuskiego mieszczaństwa.

Jeżeli Światowa Rada Pokoju przypomina 400 rocznicę wielkiego humanisty francuskiego, to dlatego, że dzieła jego, jak pisze Boy-Zeleński — „były wyrazem całej rodzącej się nowej kultury, buntem ducha przeciwko pętającym go więzom...” Satyra Rabelais'ego potężnym taranem szyderstwa i śmiechu burzyła odchodzący, strupieszający świat torując drogę postępowi ludzkości. I to właśnie jest w tym „przedziwnym mnichu” nieśmiertelne, co utrwaliło jego dzieło wśród wieków.

FRANCISZEK HRYNIEWICZ

*) Dzieło Rabelais'ego „Gargantua i Pantagruel” składa się z pięciu ksiąg, z których pierwsza pojawiła się w 1532 roku, a ostatnia w 1564 roku po śmierci autora. Znakomity tłumacz arcydzieł literatury francuskiej Boy Zeleński przełożył w całości dzieła Rabelais'ego na język polski. Pierwsze wydanie ukazało się w Krakowie w 1916 r., drugie w 1949 roku.

Najlepsze i najdroższe

ga, takie tu piękne ulice! Klebuszek potoczył się do jakiegoś domu, na tym domu napis: „Kto chce jechać — prosimy zejść na dół”.

Klebuszek do domu się wtoczył i zatrzymał. Maria schowała go do kieszeni i weszli do kolejki podziemnej, do metra.

W metrze ciągle dzień jasny, w ogóle nocy tam nie bywa. Pojeździli metrem, potem na schody weszli. Ludzie nie idą, ale schody za nich idą. Wyprowadzili schody Fiodora, Marię i Aleksę na powierzchnię ziemi.



wię pięknie tym schodom podziękowali. Maria klebuszek swój z kieszeni wyjęła, koniec nitki do reki wzięła, a klebuszek na ziemię rzuciła. Potoczył się szybko i zaprowadził ich do wielkiego ogrodu.

W ogrodzie muzyka gra, pięknie kwiaty kwitną, cudnie ptaki śpiewają. A co się w Moskwie dzieje, to nad Jeziorem Oniejskim słychać, o wszystko przez radio słychać. O tej samej godzinie cała Rosja słyszy.

W ogrodzie spacerują sobie starzy i młodzi; tańca ludziska, na huśtawkach się huśtają, a na drzewach latarnie kolorowe płoną. Wtedy Fiodor powiada:

— To na pewno jest najlep-

sze i najdroższe, bo tu wszyscy są zadowoleni i weseli.

Tylko mówić skończył, a klebuszek z kieszeni Marii wyskoczył — ledwo zdążyła koniec nitki złapać. Potoczył się klebuszek dalej. Idą Fiodor, Aleksy i Maria za klebuskiem, do jakiegoś muru podchodzą. Klebuszek przez bramę się potoczył i zbliżył do białego domu.

Maria go szybko do kieszeni schowała. A tu drzwi otwierają się i wychodzi na ich spotkanie sam Towarzysz Stalin. Poprowadził Stalin kołchoźników do pokoju i zaczął o wszystkim wypytwać, a oni o wszystkim mu opowiadali.

Różne też pytania zadawał Stalinowi, a pierwsze było pytanie co robić, żeby żyć lepiej i bogaciej. Stalin na wszystko im odpowiadał.

Wtedy Maria powiada: — Co jest najdroższe i najlepsze? Życie nasze. Nigdy by ono takie nie było, gdyby mądry wodzowie nie powiedzieli nam, jak mamy żyć. Najmądrzejsze i najdroższe są więc słowa, które nam Towarzysz Stalin powiedział.

Pożegnali się kołchoźnicy z Towarzyszem Stalinem, który ich do samego muru odnowadził i na plac wyszli.

Maria chce klebuszek wziąć, reka do kieszeni sięga, patrzy — nie ma klebuszka. Zaczeli klebuszka szukać. Szukali, szukali, do Stalina wrócili i u Niego szukali, czy im gdzie klebuszek nie wypadł, na drodze patrzyli, ale klebuszka nie znaleźli. Ale wiadomo już było co mają robić, wiedeli więc do samochodu i pojechali.

Przviechali do kołchozu. Pytają kołchoźnicy: — Cóż jest na świecie najlepsze i najdroższe?

Fiodor, Maria i Aleksy odpowiedzieli wtedy jednym głosem: — Najlepsze i najdroższe u nas na ziemi jest słowo Towarzysza Stalina.

I opowiedzieli wszystkim, co i jak im się zdarzyło i gdzie byli.

A wszyscy kołchoźnicy przychali im rację.

Przełożyła Wiera Anisimow-Bienkowska

gów inaczej odczytywana — niż dawniej. Oto co pisał „Jaszczyk” na łamach „Trybuny Ludu” w recenzji z przedstawienia dramatycznego „Otello” w wykonaniu Teatru im. Mossowieu: „Radziecki badacz szekspirowskiej myśli Morozow odrzucił tradycyjne tłumaczenie, że „Otello” to studium patologicznej zazdrości i nazwał tę sztukę „tragedią zawiedzionej ufności”. Dostojny Maur, dowódca w służbie republiki weneckiej, któremu miasto na lagunach zawdzięcza zwycięstwo nad tureckim wrogiem dusi anielską Desdemonę, pchnięty do tego czynu przez swego śmiertelnego wroga Jagona...”

Nastroj narastającej katastrofy, i niesamowitej grozy oddaje Verdi doskonale środkami muzycznymi. Liryczny duet I aktu, demoniczne „Credo” Jagona, imponujący finał zespołowy w III obrazie, a wreszcie cały akt czwarty pełen żalostnego śpiewu że gnającej się z życiem Desdemony — należą do najwartościowszych fragmentów opery. W „Otello” niewątpliwie znać w każdym takcie rękę mistrza, choć bezpośredniości wyrazu, żywiołowej siły melodycznej znajduje my tutaj mniej niż w „Aidzie”, „Sile przeznaczenia”, „Trubadurze” i innych operach Verdiego — wcześniejszych.

Realizację „Otella” przez zespół Państwowej Opery w Poznaniu można nazwać bardzo staranną. Zaczniemy od dekoracji i kostiumów projektu Stanisława Jarońskiego, który dał sugestywne obrazy, zbierające zasłużone oklaski przy otwartej kurtynie. Szczególnie kolorystyczna wizja malowniczego placu przed zamkiem, z falującym w głębi morzem i pędzącymi po niebie obłokami (I akt) pozostanie na długo w pamięci widzów.

Rola samego Otella należy do trudniejszych w literaturze operowej — tak, pod względem muzycznym jak i aktorskim. Śpiewający tę partię Franciszek Arno zdobył się na mocne akcenty dramatyczne w śpiewie i grze, szczerze śliwie wzorowanej na Mordwinowie z teatru im. Mossowieu. Arno przekonywający był zwłaszcza w scenach III aktu, gdy na wpół przytomny Otello szaleje w swych podejrzeniach. Antonina Kawecka do długiego szeregu swych ról dołączyła ostatnio Desdemonę. Zwykle kreująca dramatyczne heroiny, artystka przeobraziła się tym razem w słodką małżonkę Otella, ofiarę intryg dworskich. Aktorsko bez cienia pozycji i jakiegokolwiek sztuczności, Kawecka przede wszystkim śpiewała — prowadząc głos w frazach miękkich, subtelnych, zawsze pięknie modelowanych. Odpowiedzialną partię Jagona odtworzył Zygmunt Mariński, składając raz jeszcze dowody nieprzeciętnej orientacji artystycznej. Śpiewał dwiema barwami, z bezbłędną intonacją, wykazując nado wrodzony nerw aktorski, bez którego partia Jagona byłaby przecież nie do pomyslenia.

Oprócz powyższej trójki głównych bohaterów występują w operze Verdiego postaci drugoplanowe. Tutaj na ogół dobrze wywiązali się ze swych zadań: F. Kurowiak (pięknogłowska Emilia), R. Peter (Kasjo), A. Łukasik (Rodrygo), I. Mikulin (Lodovico), J. Machalla (Montano) i B. Ratajczak (Herold). Reżyserował z rutyną: Adolf Popławski. Chóry brzmiały potężnie i z blaskiem, szczególnie w porwującej scenie burzy morskiej. Całokształt muzyczny „Otella” zmontował Zygmunt Wojciechowski, którego dyrekcyjne cechowało głębokie i trafne wnikięcie w styl „późnego” Verdiego. Pewność batuty, długolanie doświadczenie i co za tem idzie wybitna muzyczna inteligencja, oto atuty Wojciechowskiego, które pozwalają na pełny rezonans jego zamierzeń artystycznych.

Gdy poznaniacy na lubuskie jarmarki przybywali

mgr Mieczysław Turski

Mieszkańcy średniowiecznego Poznania utrzymywali wcale rozległe stosunki handlowe z gradami lubuskimi, a szczególnie z Zieloną Górą. Wskazują na to oprócz zabytkowych dokumentów archiwalnych miasta Poznania również akta miejskie i zapisy cechowe, fragmenty dzienników kupieckich oraz listów mieszczan, zachowane w Zielonej Górze.

Zielonogórskie jarmarki

W okresie średniowiecza gród Zielona Góra słynął ze swych czterech dorocznych jarmarków, na które niezależnie od mieszkańców Ziemi Lubuskiej, ściągali licznie kupcy z dalekich miast, Wrocławia, Torunia, a także Poznania. Związkiem jarmarku „Wielkanocny” oraz czerwcowy zwany „na św. Jakub” cieszyły się znacznym wzięciem wśród przybyszów z odległych stron. Z Poznania zjawiali się chętnie wysłannicy magistratu, zakupujący wyroby pergaminowe, a w późniejszych wiekach papiernicze, wyrabiane w zielonogórskim miejskim Młynie Papierniczym, uruchomionym w pobliskiej Krempie. Papier najwyższej sorty, znaczony znakami wodnymi z wizerunkiem piastowskiego orła, był

nych na dwukołowe wozy przewozili do Poznania pieprz, szafran, gałkę muszkatołową i chleb świętojański. Z towarów wytwarzanych przez miejscowych rzemieślników kupowano najwyższej jakości sukno, znaczono trzema cechowymi pieczęciami. Stosunkowo małym powodzeniem cieszyło się zielonogórskie wino. Przybysze wielkopolscy zawierali także szereg transakcji handlowych w miastach położonych na trasie wodnym z Poznania, zazwyczaj przez Leszno, Wschowę i Głogów.

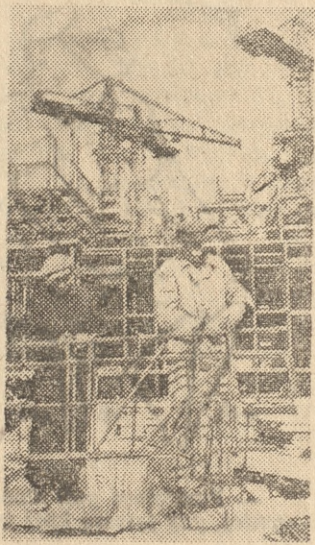
Targi babimojskie

Niemniejszym powodzeniem od jarmarków zielonogórskich cieszyły się w średniowieczu także jarmarki urządzane w Babimocie, zwane popularnie „targami”. Na odcinku średniowiecznego życia gospodarczego odgrywały one wcale niepoślednią rolę.

Odwiedzali je również kupcy poznańscy, poszukujący misternie wykonanych koronek i wzorzystych haftów. Stanowiły owe piękne wyroby żmudny, lecz wspaniały owoc pracy ręcznej dziewcząt i niewiast spod babimojskich wsi. Gdy ustały prace w polu, w długie zimowe wieczory, przy migotliwym blasku płonących szczer smolnych, wysilając wzrok, wykonywały te poszukiwane hafty, pragnąc zdobyć nieco grosza dla gospodarki rujnowanej stale przez przymus pańszczyźnianej pracy. Otrzymywały za swój trud dosłownie grosze, a nabywcy z wielkim zyskiem spieniężali babimojskie wyroby na poznańskim rynku zamożnym matronom z patrycjatu miejskiego. Nie brakowało poznańskich gości również na jarmarkach sulechowskich, a nawet głogowskich. Wśród przybyszów znajdowali się zwłaszcza handlarze koniami, trzodą i bydłem.

Minęły wieki i dziś oba odległe miasta Poznań i Zielona Góra związane są ponownie mocnymi więzami wzajemnych stosunków gospodarczych, lecz dalekich od średniowiecznego wyzysku człowieka przez człowieka, wyrosłego na krzywdzie społecznej. Obecna łączność gospodarcza obu miast przyczynia się do budowy lepszego socjalistycznego jutra w naszym kraju.

Ogólny widok budowy Pałacu Kultury i Nauki im. Józefa Stalina.



Montaż stalowej konstrukcji sali kongresowej.

CAF. — fot. (2) Baranowski

Z każdym dniem budowniczości Pałacu Kultury i Nauki osiągały coraz nowe sukcesy produkcyjne. Szybkie tempo montażu stalowych konstrukcji gmachu sięgającej już wysokości 7 kondygnacji, pozwoliło na wypełnienie stalowego szkieletu części wysokościowej pałacu cegłą, nadsyłaną ze Związku Radzieckiego, tak zwaną sitówką o 105 otworach. Cegła ta dotychczas u nas nie produkowana, ma dużą wytrzymałość i jest znacznie lżejsza od cegły pełnej.

Z ośrodków przemysłowych Związku Radzieckiego napływają bez przerwy transporty z materiałami budowlanymi i sprzętem.

W dniu 5. IV. 1953 roku miały pierwszą rocznicę podpisania w Warszawie umowy między rządem ZSRR i rządem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej o budowie Pałacu Kultury i Nauki.

Jak wojnowskie topole

(Dokończenie ze str. 1) czym podwórzu. Wszędzie go jest pemo. Tu przepędzi obcych ludzi, petających się nie wiadomo, po co obok śpichlerzy; w oborze zatroszczy się o chorą krowę; w stajni dopilnuje wydania obroku strudzonemu koniom; na zebraniu wygarnie wszystko co ma na wątrobie. W gorące dni pracy trudno zebrać go z pola. Wspólnej własności strzeże jakby wszystko należało do niego. Na wspomnienie własnej działki uśmiecha się ironicznie. — Nie — mówi — to już nie dla mnie.

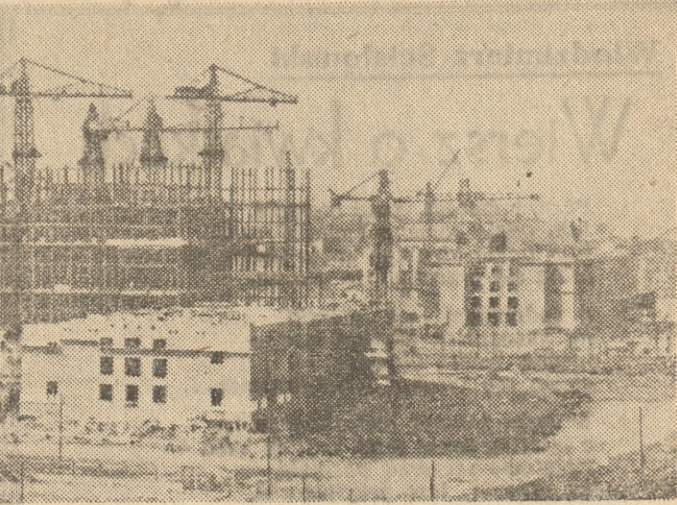
Albo Burzyński. Ongiś — ale to już bardzo dawno temu, gdy Michał nie miał ani ziemi, ani własnego kąta — trzeba było pracować w charakterze pielęgniarza w szpitalu, potem w lesie pilnować kopalniaki. Odżył dopiero po wojnie, gdy władza ludowa dała mu 7 ha dobrej ziemi. Tak się nią cieszył, że aż wstrzymał się od wstąpienia do zakładowej spółdzielni. Nikt mu tego nie wziął za złe. Wierzone, że Michał przekonanie się i że przyjdzie z własnej woli. W cięższych okresach spółdzielcy pomagali mu, interesowali się jego pracą, nawet pieniędzy pożyczali

w nagłej potrzebie. A Burzyński zachodził do nich, przylgając się, słuchał referatów wygłaszanych na zebraniach i pożyczal książki ze spółdzielczej biblioteki. Wczytywał się potem w gazety, słuchał przemówień Bolesława Bieruta i wielu innych dostojników państwowych, aż wreszcie przyszedł. Jest teraz III członkiem zarządu, sekretarzem koła ZSL i prawą ręką Miski. Razem pracują nad planami, nad usprawnianiem pracy, podnoszeniem plonów, pogłębianiem świadomości politycznej zespołu i nad umacnianiem umiłowanej spółdzielni. Wielkość i rozmach tej pracy oszałamiają ich jak mocny narkotyk.

A czym byłby Józef Zaworski — brat Władka — bez spółdzielni? Może niewykwalifikowanym robotnikiem w mieście, może ugrzązby na gospodarstwie rodziców — ktoś to wie? Stało się inaczej dzięki zespołowi, który młodego Józka wysłał na kilkumiesięczny kurs do Warszawy, a potem powierzył mu prowadzenie księgowości i kasy spółdzielczej. Zaworski popracował rzetelnie i w ciągu kilku lat nabył praktyki i rutyny. Nie marnując żadnej okazji, by pogłębić swą wiedzę, Józef doszedł do tego, że w tym roku po raz pierwszy bez niczyjej pomocy zamknął bilans za ubiegły rok. Pomaga teraz młodemu księgowemu w nowozałożonej spółdzielni w Długiej Goślinie. Jego akuratna i czysta robota zdobyła sobie najwyższe uznanie nie tylko wśród spółdzielców, lecz również w gminie i powiecie.

Rosną więc ludzie w Wojnowie, aż radość chwytają za serce. Wyprostowuje się kierunek myśli i poglądów młodych i starych, mężczyzn i kobiet. Roman Janiszewski czy Wincenty Budych, Stanisław Grześkowiak bądź Stefan Jakubowski, soltys, Piotr Pańczak czy ZMP-owiec Stanisław Kazus — każdy z 48 członków zespołu — to jakby inni dzisiaj ludzie. Zmieniła i ciągle zmienia ich wytrwała praca polityczna, zacieśniając się poczucie wspólnoty. Jeden cel przyświecający spółdzielcom i pełne umiłowanie ludowej Ojczyzny. W codziennym trudzie hartują się i krepną serca ludzi, którzy dopiero w życiu pełnym swobody i twórczego rozmachu ujrzą słońce nad swymi głowami i w jego ciepłe rosną jak wojnowskie topole.

TADEUSZ PASIKOWSKI



Osiem lat nowych Węgier

Osiem lat mija od dnia, gdy zwycięskie oddziały Armii Radzieckiej wyparły z terytorium Węgier ostatnie formacje hitlerowskie. Osiem lat mija od dnia, gdy naród węgierski, po wiekach ucisku, niewoli i nędzy stał się gospodarzem na własnej ziemi. Armia Radziecka przyniosła Węgom prawdziwą wolność i niepodległość, o którą toczyli oni w ciągu stułecia, ciężką, bohaterską walkę.

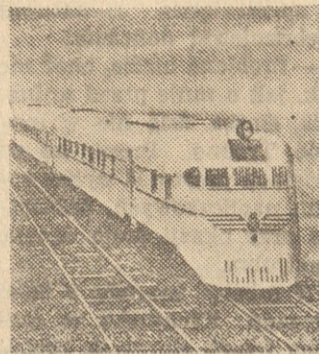
„To, że naród nasz po raz pierwszy na przestrzeni swych dziejów oddycha powietrzem wolności, korzysta ze wszystkich dobrodziejstw nowego życia, dokonuje wielkich czynów — wszystko to zawdzięczamy Związkowi Radzieckiemu i wielkiemu Stalinowi. Przyjacielska pomoc, genialna nauka Towarzysza Stalina umożliwiły nam obalenie w naszym kraju władzy kapitalistów — wyzyskiwaczy. Stalin pomógł nam odbudować naszą zrujnowaną ojczyznę, wprowadził nasz naród do szanowanej rodziny wolnych narodów. Jemu zawdzięczamy to, że obecnie w warunkach pokoju-

Wielki Plan Pokoju przeobraża Węgry w kraj żelaza i stali, w kraj dobrobytu i kultury. (r)

Ich „sztuka”

W miarę jak pogłębia się rozkład imperiaлизmu, potęguje się również antyrealistyczne, irracjonalistyczne kierunki w sztuce. Ich „sztuka” zrodzona jest w tych czasach, kiedy burżuazja jako klasa, już tylko reakcyjna i obskuranczka, z przerażeniem ucieka od rzeczywistości, gdyż jej wymowa głosi wyrok śmierci na kapitalizm.

W tej obłądnej sztuce jest metoda ginącego świata, który ogłupiając społeczeństwa, chciałby rozpętać nową wojnę wbrew woli milionów prostych ludzi. I stąd ich „sztuka” musi właśnie wyrażać to wszystko, co jest przeciwne normalnemu i zdrowemu rozsądkowi, musi przyćmawiać tym co jest odpychające, apoteozować głupotę, brukać to co jest czyste, postępowe uwstecznić i przedstawiać sprawę pokoju jako coś rzekomo nieosiągalnego. (JOT)



Nowoczesny elektropociąg na jednej z węgierskich linii kolejowych.

wych pewnie budujemy swą szlachetną socjalistyczną przyszłość.”

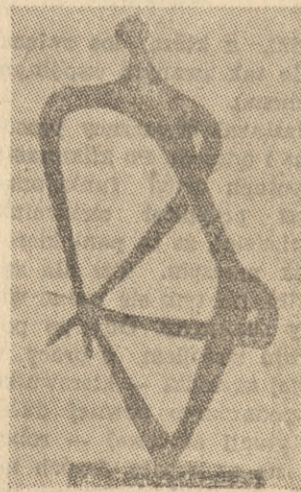
Tak pisał Matyas Rakosi, ukończony przywódca węgierskich mas pracujących.

Czasy, w których Węgry stały się zafobanym, półfeudalną kolonią zachodniego imperializmu minęły bezpowrotnie. Rozwijało się dawne w tym kraju tylko te galezie przemysłu, które były wygodne zachodnim protektorom i miejscowym fabrykantom. Produkowały więc Węgry motory elektryczne, ale nie miały metalurgii, produkowały ładne tkaniny, ale nie miały przemysłu aluminiowego, wywożąc do Niemiec bauxyt, niezwykle cenny surowiec, w który ziemia węgierska obfituje. W kraju, w którym istniały wszelkie warunki rozwoju przemysłu, szerzyło się bezrobocie.

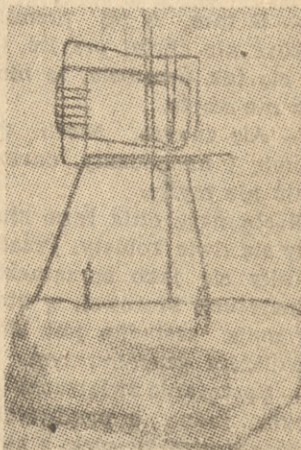
Barwne prospekty kusily turystów zagranicznych urokami bezkresnej puszy, która ofiarowywała im prawdziwie afrykańskie „fata morgana”. A na puszczy tej wegetowały tysiące niedarzących chłopskich, bo malownicza ziemia była dla nich okrutna, bo wyschnięta, zniszczona przez erozję nie rodziła chleba. Blichtrzem kryjącym nędzę, wyzysk, ciemnotę były reklamowane węgierskie luksusy.

W ciągu ośmiu lat ludowe Węgry zlikwidowały tragiczną spuściznę rządów burżuazji. W ciągu ośmiu lat przeobraziły się w nowoczesny kraj, rozbudowującego się szybko socjalistycznego przemysłu, coraz bardziej nowoczesnego, zmechanizowanego i przechodzącego na drogę kolektywizacji rolnictwa, w kraj w którym nauka i kultura są skarbem powszechnym, w którym zdrowiska i domy wycieczkowe są do wyłącznej dyspozycji ludzi pracy i ich rodzin, kraj, w którym na miejscu dawnych ruder codziennie wyrasta jasne osiedle mieszkaniowe, a dzieci robotnicze nie bawia się już nad rynsztokami, lecz w pięknych przedszkolach i ogródkach dziecięcych.

Ośma rocznica swego wyzwolenia obchodził naród węgierski, realizując przedostatni już rok pierwszej pięcioletki. Przy jej końcu, w r. 1954 każda węgierska wioska mieć będzie światło elektryczne, telefon, kino i dom kultury. Dochód narodowy w tym czasie osiągnie wzrost do 130 proc.



Duchowe oblicze twórcy tego „arcydzieła”, wydaje się być niedalekie od tych samych idei, które spotykamy u antycznych ludobójców na Korei.



Nie jest to ani pałanka na myśli, ani lótko z domu wariatów albo domowa antena radiowa. Skonstruował „to coś” rzeźbiarz angielski niejaki Reg Butler i wystawił w londyńskiej Tate - Galerie. Oczywiście wziął za swój kapitał i nagrodę oraz 4.525 funtów.



chętnie nabywany „na potrzeby świetnej magistratury poznańskiej”.

Kupcy wielkopolscy, a zwłaszcza poznańscy, zakupywali w Zielonej Górze korzenie i przyprawy egzotyczne, dowożone ze Szczecina Odrą do Krempy, a następnie transportowane drogą kołową do miasta. W jukach przewiezianych przez grzbiety koni i w worach załadowa-

W prasie berlińskiej ukazały się recenzje z premiery naszej narodowej opery „Halka” na scenie „Staatsoper”.

„Publiczność berlińska szczególnie gorąco przyjęła — pisze „Berliner Zeitung” — pełne życia, tańce góralskie.” „Mazur, tańce góralskie w swym rozmachu i ogniu należą do najlepszych utworów muzycznych, które kiedykolwiek dla baletu operowego skomponowano” — dodaje „Taegliche Rundschau”.

Wiele miejsca poświęcają pisma berlińskie genialnej „Halki” i jej rzeczywistej wymowie społecznej, odkrytej na nowo w Polsce Ludowej, a także twórcy pomnika polskiej muzyki narodowej — Stanisławowi Moniuszce. Dzienniki berlińskie wyrażają radość z wystawienia „Halki”, stwierdzając, że przedstawienie to służy umacnianiu przyjaźni między obu narodami.

Na zdjęciu: Eugeniusz Papliński w czasie próby baletu.

„HALKA” w Berlinie



Wiersz o kwiatach

Poza miastem, przy olszynie,
tam gdzie barwne kwiatki rosną,
tam gdzie strumyk sobie płynie —
lubie się przechadzać wiosną.

I podziwiam owe kwiatki,
na wiosennej, wonnej łące —
jaskry, fiołki, bławatki —
cieszę się wraz z nimi słońcem...

W lesie innych kwiatków świta
z miejscą mnie przy wejściu wita —
fioletowe szczyraki paszeczki
tu sasanki, tam przyłaszeczki.

Tu pierwiosnki, tam zawilce —
wszystko w górę żwawo pnie się —
aż niesposób w jednej chwili
wszystkie kwiatki dostrzec w lesie.

Lecz nie pełna będzie lista
owych kwiatków, oczywiście;
tu i ówdzie (kwiat nie rzadki)
rosną sobie biuro-kwiatki;

sterczyki, zapominajki;
kumotrzyki i szachrajki,
i zawilce i bawia—tki —
takie to są owe kwiatki!...

Tu i ówdzie z owej kasty
chuligańskie kwitną chwasty,
tu i ówdzie złodziejaszek
chyttrze schowa jakiś łasek...

Lecz niech wiedzą kwiatki owe,
że niejedyn taki kwiatek
za wybryki swe łakowe
wita wiosną — spoza kratki!...

Nieporządek z porządkami

Ara Beski

Ktoś zadzwonił. Otworzy-
łem. W drzwiach stał
człowiek w roboczym kombi-
nezonie, zgity pod ciężarem
jakiejś wielkiej niklowanej
machiny.

— Do kogo? — spytałem.

— Pani kierownik kazała
przynieść — rzekł niezna-
jomy — ja z biura, a to elek-
tryczna froterka. I wymienił
nazwisko odbiorcy, mojej są-
siedki.



siedki, z którą los związał
mnie tak zwanym wspólnym
dachem...

Zostawił błyszczący przed-
miot i odszedł. Po kilkunastu
minutach drugi funkcyj-
nariusz przyniósł elektrolux.
Powiedział, że to pani kiero-
wnik przysłała. Też dla są-
siedki. Na tym się ranne wi-
zyty skończyły. Gdy po po-
łudniu wróciłem z pracy, u
mojej sąsiadki — kierownika
gospodarczego pewnej dużej
instytucji biurowej — robo-
ta szła aż wrzało. Dwóch tę-
gich starszych mężczyzn cy-
klinowało podłogę. Od czasu
do czasu dobiegały mnie
strzępy rozmowy:

— Ale premię obiecała od-
palić — mówił głośniejszy.

— E tam, z jej premią.
Jakbyś nie chciał przyjść, to
by cię tak urządziła, że mó-
wić nie warto.

— Ale zawsze. Niech da
premię i nadgodziny, darmo
robić nie myślę.

Następnego dnia rano zja-
wiły się dwie kobiety. Przed-
stawiły się jako sprzątaczk
z instytucji biurowej, w któ-
rej moja sąsiadka jest kie-
rownikiem gospodarczym.

— Sprzątanie świąteczne —
rzekła jedna z przybyłych,
rozpakowując węzelek, z któ-
rego wysypały się pudełka z
pasta, kawałki mydła itp.

— Proszę do szorowania
za omnieli z magazynu wy-
dać — westchnęła druga.

Gdy wieczorem wróciłem
do domu, uderzył mnie cha-
rakterystyczny zapach wio-
sennej czystości, połączony z

wonią amoniaku i terpent-
ny. Głos mojej sąsiadki —
kierownika gospodarczego —
w sprzątniętym mieszkaniu
rozbrzmiewał donośnie:

— Zrobione nieźle, choć nie
tak, jak u mnie przed wojną.
Cóż, służba dziś nie w mo-
dzie. Trudno. Proszę mi po
świętach przynieść moje go-
dzin nadliczbowych. Zabierz-
cie przy okazji moje drogie,
elektrolux.

W sobotę przyszła z kole-
brygadą kucharska w oso-
bach trzech starszych kobiet.
— My ze stołówki — po-
wiedziały — pani kierownik
przysłała. Rozporządziła, że
dziś obiadu w biurze nie ma,
bo święta. Wszyscy chcą być
wcześnie w domu.

O godzinie 22 skończyły
smażenie, pieczenie i goto-
wanie.

W święta sąsiadka podej-
mowała gości. Był brydż i go-
rąca kolacja, a nawet tańce
na mechanicznie wyfrotero-
wanej podłodze. Sąsiadka za-
pukała do mnie:

— Może pan pozwoli. Pro-
simy. Skromniutkie te świę-
ta, ale zawsze człowiek się
postarał, żeby ten tradycyjny
nastroj zachować, choć to
bardzo trudno w dzisiejszych
czasach. Trzeba wszystko ro-
bić samemu.

Wymówiłem się bólem gar-
dła.

Urzędnik policji federal-
cyjnej kontrolujący na
punkcie granicznym doku-
menty pasażerów, którzy za
chwilę mieli wjechać na te-
rytorium Stanów Zjednoczo-
nych podejrzliwie przyglądał
się smukłej, opalonej dziew-
czynie w lekkiej sukience w
czerwone maki. Wreszcie
stryknął przez zęby śli-
ną na przeciwną ścianę za
pytał:

— Jakto tak, bez dokumen-
tów... Nazwisko?

— Wiosna.

— Wiosna? Hmm... a po
co?

— Jakto po co? Przycho-
dze tu co roku.

— Co roku mówicie. I za-
wsze bez dokumentów?

— Zawsze.

— Ciekawe? A skąd?

— Z południa.

— Z południa? A czy nie
jesteście przypadkiem jakąś
mulatką czy też innym czar-
nym diabłem? — i z uwagą
nie wróżącą nic dobrego
przyglądał się jej smagłej ce-
rze.

— To chyba przecież obo-
jętne — zaśmiała się dziewczę
nie podrażniona bez paszpor-
tu. — Ja niosę radość wszy-
stkim ludziom.

— Ach tak — przeciągnął
urzędnik. — A macie w USA
krewnych?

— Moimi krewnymi są
wszyscy ludzie.

— Wszyscy? I czarni też?

— zainteresował się urzęd-
nik.

— I czarni i czerwoni, bez
różnicy.

— I czerwoni mówicie pa-
nienczko. I czerwoni — po-
wtórzył z naciskiem.

— A wolno wiedzieć, czy
zawiadomiliście o swym przy-
jeździe swych przyjaciół?

— Naturalnie. Zrobiły to
kwiaty, drzewa i ptaki.

— Ptaki? Może gołębie?

— I gołąbki również.

— Hmm. No cóż... i zwró-
ciwszy się do stojących obok

Z punktu widzenia plotkarki



— Nie zazdroszczę miesz-
kańcom tego domu. Czyż
można dowiedzieć się, co
dzieje się w każdym mie-
szkaniu!...

(„Krokodil”)

Agitatorka

Jan Eski

niego barczystych polime-
nów krótko zawyrokował: —
Zamknąć ją w celi nr 1.

Wkrótce skończył pisanie
raportu następującej tre-
ści:

„W dniu dzisiejszym za-
resztowałem niebezpieczną a-
gitatorkę komunistyczną o
pseudo „Wiosna”, która usi-
łowała nielegalnie dostać się
do Stanów Zjednoczonych.
Jak sama stwierdziła należy
ona do partii komunistycznej

i jechała do komunistów a-
merykańskich uprzedzonych
przez gołąbka (należy zba-
dać czy nie organizuje się w
USA jakiś kongres w obronie
pokoju). Oskarżona musi być
stałym łącznikiem, gdyż jak
przynależała się „przebywała w
sposób nielegalny granicę
wielokrotnie”.

Zajęty pisaniem urzęd-
nik nie zauważył nawet jak na
kwiatkach w gabinecie rozwi-
nęły się paki, a zza chmur
pojawiało się uśmiechnięte,
wesołe słońce.



— Pamiętasz mój słodki... Jak denerwowałeś się da-
wniej, gdy jeszcze ktoś trzeci siedział na tej ławce?!

Święta Onufrego Leniwki

Adam Ochocki

— Musi pan iść na obser-
wację. Poleży pan u nas dwa
dni. Zobaczymy... może się
uda bez operacji...

Leniwko czuje jak geste
krople zimnego potu spływa-
ją mu po skroniach.

— Ależ... panie doktorze...
święta... w domu wszystko
przygotowane...

— Zdrowie przede wszyst-
kim — przerwał dyskusję le-
karz.

Leniwki nie operowano. W
poniedziałek po południu
przyszedł doń do pokoju szpi-
talnego lekarz, zbadał go po-
nownie i orzekł, że to jednak
nie jest ślepa kiszka. Późnym
wieczorem, po załatwieniu
formalności Leniwko wrócił
do domu. Wściekły, zawie-
dziony, nawet nie tknął przy-
gotowanych frykasów.

A we wtorek poszedł do
biura. Koledzy powitali go
radośnie, gratulując mu, że
obeszło się bez operacji.

ROZRYWKI umysłowe

1. Krzyżówka

1	2	3	4
5			
6			
7			

Poziomo: 1. Rodzaj obuwia. 5. Rozbój, przestępstwo polegające na zabraniu przy pomocy gwałtu cudzego mienia. 6. Męczyzna niezadowolony. 7. Wodospad, jeden z najwspanialszych na ziemi. Pionowo: 1. Karaluch. 2. Nie-
wielka rozrywka, przyjemność. 3. Przyprawa do ciasta. 4. Węzeł fantazyjny ze wstążki. 5. rozlosowania 3 nagrody książ-
kowe, a za rozwiązanie jednego
dwie dalsze nagrody pocieszenia
(również książki). Rozwiązania
nadsyłać prosimy w terminie ty-
godniowym pod adresem: Re-
dakcja „Głosu Wielkopolskiego”,
Poznań, Grunwaldzka 19, z do-
piskiem na kopercie „Rozrywki
umysłowe”.

2. Wykryta pomyłka

Dwie przyjaciółki Marysia i
Jadzia kupiły do spółki los loto-
ryjny i wkrótce zapomniały o
nim. Przechodziła Jadzia za-
pamiętała jednak jego numer
005354. Tymczasem na los pa-
dła duża wygrana, ale roztar-
nione przyjaciółki nie mogły
przypomnieć sobie miejsca jego
schowania. Całodzienne gorącz-
kowe poszukiwania nie dały re-
zultatu. Szczęśliwy los jakby
się pod ziemię zapadł.

Nazajutrz Jadzia wpadła jak
bomba do Marysi i zawołała:
Znalazłam los w książce, włożo-
ny był między 53 i 54 stronę.
Skąd mam pewność, że Ja-
dzia pomyliła się i podała nie-
właściwe strony?

Za prawidłowe rozwiązanie
obu zadań przeznaczamy do
ślemy nagrody pocztą.

Pięć minut przed świętami

Rys. J. Ciszewski i H. Derwich



— Wiesz, Marysiu, wymyśliłem prak-
tyczny sposób froterowania podłogi...



BABY SIĘ PIEKĄ



— Mówiłaś przecież, że tylko szynkę
chcesz mieć podwędzoną..., a resztę na
kibelasy.